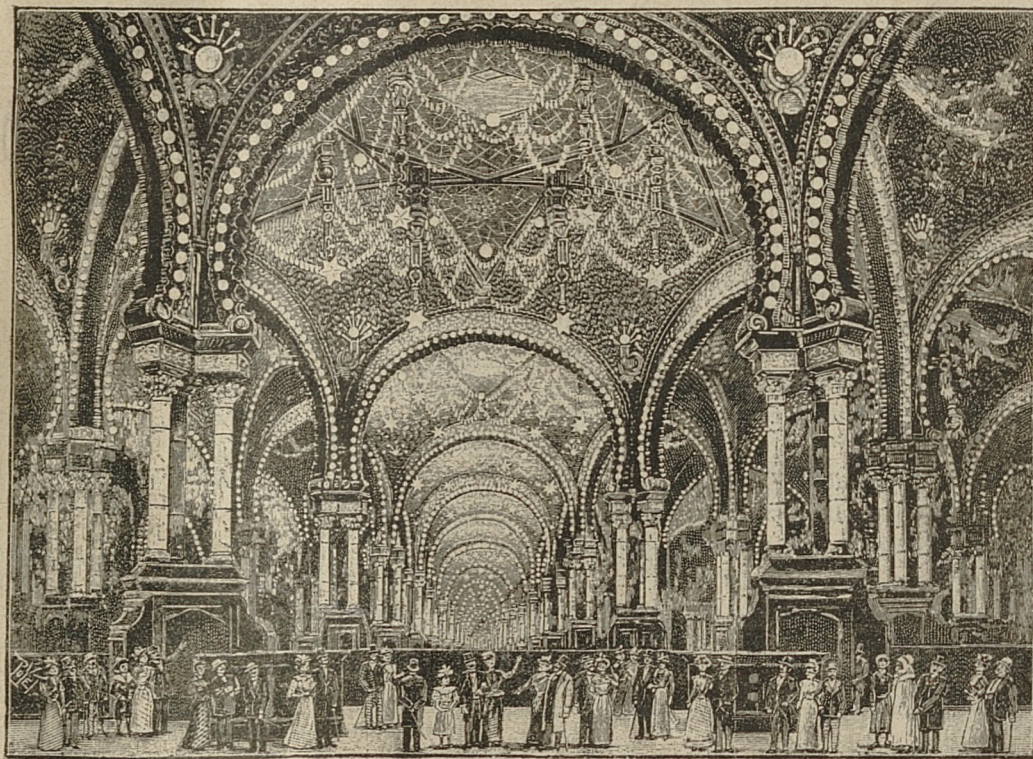


WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

Z Wystawy Paryskiej.



Sala złudzeń.

VII.

Chcecie wejść ze mną do wnętrza ogromnego pałacu z tysiąca i jednej nocy, gdzie mnóstwo sal i galeryi sklepi-nych krzyżuje się i łączy, gdzie oko nie może obliczyć sze-

regu kolumn z malachitu i jaspisu, lapis lazuli i innych ko-lorowych kamieni, gdzie ze sklepień spuszcza się nieskoń-czona, zda się, ilość żyrandoli, świeczników, gwiazd—a każ-dy łuk, każda arkada, każda linia obramowana tysiącem lamp. W którą stronę się zwrócić, wszędzie sale i galerye,

wszędzie kolumny i arkady, blaski i światła — bez końca, bez końca.

Zaiste, żaden kalif, żaden sułtan najpotężniejszy, pomimo całego przepychu i zbytku Wschodu, nie mógł posiadać takiego pałacu, takich sal, takiego oświetlenia!

Patrzcie! na chwilę wszystko ściemniało, noc zaległa gmach cały. Słyszyny tajemniczy dzwonek: w górze zajaśniały blado-niebieskie gwiazdy; pełno ich, jakby w noc pogodną, bezksiężycową na niebie. Drugi dzwonek! Wszystko płonie blaskiem krwawym; zapalają się kolumny i żyrandole i lampki, zapalają się błyskawicznie, a takie ich mnóstwo, że oko gubi się w tej ilości i w tej przestrzeni.

Znowu światło się zmienia. Teraz wszystko lśni białą i ośniewająco, jak słońce, potem jakieś świetliste motyle spływają ze sufitu. Z ust wyrwa się mimowoli okrzyk zachwytu... Ciemność — przedstawienie skończone.

A jednak ten cały olbrzymi pałac z nieskończoną ilością sal i światła jest sobie poprostu wielkim bardzo pokojem, w którym mieści się najwięcej 400 osób. Ale dzięki umiejętnemu zastosowaniu luster i światła elektrycznego, nauka i technika uczyniła zeń taki czarodziejski gmach.

Sala złudzeń — która powiemy nawiasem, cieszy się największym powodzeniem ze wszystkich osobliwości wystawy — ma kształt foremego sześcioboku, którego każda strona ma zaledwie 11 metrów długości. Ale wszystkie ściany tej sali stanowią prześliczne, niezwyklej czystości i jasności lustra. Każde takie lustro odbija przeciwległe lustro wprost, dwa przyległe pod kątem 60°, a dwa dalsze pod kątem 120°. W każdym kącie stoi po dwie kolumny także ze szkła, lecz z lampami elektrycznymi wewnątrz. Ze sklepienia zwieszają się żyrandole i świeczniki.

W każdej ścianie widziny po pięć odbić pod różnymi kątami, a w tych odbiciach dalsze odbicia, nic więc dziwnego, że wydaje się nam, iż stoimy w środku nieskończonych ilości sal.

Wszystkie lampy elektryczne połączone są z sobą i opatrzone w rurki szklane, przez które przepływają ciągle odpowiednio zabarwione płyny. Za pociśnięciem odpowiednich przyrządów zapalają się światła i zmieniają kolory, tworząc, jak mówiliśmy wyżej, widok czarujący i niezapomniany.

Sala złudzeń oprócz przyjemności, jaką sprawia zwiedzającym, jest znakomitą okazem postępu w wyrabianiu i wprawianiu w ściany ogromnych tafli lustrzanych oraz w oświetleniu różnokolorowem.

Rycina, którą zamieszczamy, nie może dać nawet najmniejszego pojęcia o wspaniałości tej sali.

Droga do nieba.

Powiedz, mamusiu, o powiedz droga,
Czy stąd daleko bardzo do nieba?
I jaką drogą dążyć potrzeba,
By jak najprędzej trafić do Boga?
Może się trzeba wdrzeć na szczyty
Na całym świecie największej góry?
Stamtąd już nieba bliższe błękity,
Łatwo się białej uchwycić chmury

I płynąć cicho, lekko w przestworze,
Aż chmurka przyjdzie pod stopy Boże?
A może trzeba, matysiu złota,
Iść po świetlistej, mlecznej ścieżynie?
Bo wiem, że koniec jej ledwie ginie
Aż tam, gdzie nieba świecą się wrota.
Czy tak? O powiedz, mamusiu droga,
Kędy najkrótsza do nieba droga?

— Jest droga, dziecko, nie ta świetlista.
Co jak pas srebrny lśni się w błękitach;
Lecz uciążliwa, stroma, ciernista...
Tą drogą: czyste, cnotliwe życie.
Choć po niej ciężko stąpać, o dziecko,
Pracą, miłością, wiarą jest zwana;
I to jedyna ścieżka na światcie,
Która lud wierny wiedzie do Pana.

A wiesz, co trzeba czynić, mój synu?
By jak Bóg kazał, tak żyć cnotliwie?
Trzeba się nie bać walki ni czynu,
Pracować z Panem, wcięż, a uczciwie.
Trzeba miłować ludzi i Boga,
Z ogromną wiarą iść i nadzieją,
A żadna w życiu nie tknie cię trwoga.
I smutki, synu, cię nie zachwieją
Przed wyrokami Pana wszelkiemi,
Trzeba się korzyć, dziecino moja,
I mówić zawsze: Jako na ziemi
Tak i na niebie, bądź wola Twoja!

Te-Be.

Zofia Urbanowska.

RÓŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).

I rzucił się do zbierania woniejących kamyków. Wyglądały one jakby proszkiem czerwonym obsypane. Jakób tłumaczył mu, że ten proszek jest gatunkiem porostu zwanego Bisiorkiem fiołkowym, który mocniej pachnie za potarciem, a po deszczu wydaje woń jeszcze silniejszą, zwłaszcza, gdy go słońce przygrzeje i dodał, że Bisiorek znajduje się nie tylko w Tatrach, ale i w innych górach, mianowicie w Alpach.

Chłopiec ucieszył się bardzo z tego odkrycia, pozwalającego mu obdarzyć siostrzyczkę taniemi perfumami.

— Doktorze — odezwał się malarz — nie jestem przyrodnikiem, ale niektóre rzeczy z dziedziny przyrody budzą moją ciekawość. Słyszałem, że te drobne twory roślinne są bardzo różnorodne i nie mają wcale liści. Prawdąż to?

— Formalnych liści rzeczywiście nie mają, ale składają się z blaszek rozmaitych kształtów, które botanicy nazywali skórkolisciami. Na skórkolisciu dojrzeć można owocniki: jedne wyglądają jak kubeczki, inne jak krążki, inne jeszcze jak miseczki, lub jagódki ładnie zabarwione. Nie są to ani kwiaty, ani owoce, ale przyrządy zawierające zarodniki, z których się rozmnażają.

— Widziałem tutaj w lesie bardzo ładny porost, składający się z malutkich kubeczków przybranych koralami, a także na domu, w którym mieszkamy, żółty, jakby z zeschniętych liści złożony, w ogóle zresztą często na starych płotach, murach i kamieniach napotykamy.

— Najpospolitszy ale także najszkodliwszy dla drzew jest porost *Usnea barbata*, „brodac” porastający całe drzewa

świerkowe jakby siwymi włosami i wyniszczający je do-
szczętnie — powiedział Jakób.

— Skąd pan to wszystko wie?

— Ach, to rzecz powszechnie znana! Ja bardzo ma-
ło umiem, ale są tacy, co dowiedzieli się wielu rzeczy no-
wych i ciekawych przez długie i pracowite badania. Opisał
porosty tatrzańskie dr. Rehman, a Gutwiński opisał glony,
czyli wodorosty.

— Że też to uczeni tak drobnymi zajmują się isto-
tami!

— Te drobne istoty są najwytrwalsze ze wszystkich
na ziemi. Na nagich, twardych skałach, gdzie żadne ziarno
utrzymać się nie jest w stanie, porosty ukazują się naj-
pierwsze. Do nich zastosować można słowa Pisma Święte-
go, że „przysposabiają drogi Pańskie.” Są to najpierwsi
osadnicy: One to rozkruszają kamień i gnijąc powlekają
go cieniątką warstwą ziemi rodzajnej; one kładą się niejako
pod stopy następnych pokoleń, a te z kolei po sobie na-
stępując, ukazują się coraz bujniejsze, doskonalsze, aż
utworzy się grunt rodzajny, w którym drzewa bezpiecznie
zapuszczają korzenie. Porosty — to skromni pracownicy,
bez których potężne drzewa nie mogłyby istnieć. Bóg czę-
sto używa małych do wielkich spraw swoich.

— To prawda — pomyślał Henryk — dżdżownice są
także małe i tak brzydkie, że spostrzegłszy je między grud-
kami ziemi, odwracamy się od nich ze wstrętem, a przecież
pracują bezustanku nad spulchnieniem ziemi. Jakże my,
ludzie, pracować powinniśmy żeby nie doznawać upokorze-
nia wobec porostów i dżdżownic!

Po obu stronach drogi były mokradła, a wśród mo-
kradel bujne rośliny storczyki, kwiatki ozdobne na wysokich
łodyżkach, a piękne kiście blade-lila i fioletowe, zebrane by-
ły w kłosa. Te ostatnie były dorodniejsze od pierwszych
i liście miały ciemno centkowane, ale nie pachniały, a blade
lila i białe, które rzadko się tylko ukazywały, wydawały
miłą, delikatną woń. Nie były to wyłącznie górskie rośliny,
bo na równinach naszych, po lasach i po łąkach spotkać
można podobne, ale klimat tatrzański szczególnie im do-
brze służy, więc tworzą tu liczne osady, zdala dające znać
o sobie barwami i wonią. Doktor wyjął z kieszeni małą że-
lazną łopatkę, którą zawsze przy sobie nosił, i schylał się
raz po raz, wykopując roślinki z korzeniami, przyczem mo-
żna było zauważyć, że każda miała małą bulwę. Bulwki te
odcinał i wsuwał do kieszeni, a kwiaty zbierał w bukiet.
Henryk znający zamiłowanie Jakóba do roślin, nie dziwił
się temu, ale nie pojmował co za użytek może być z korzeni
storczyków. Czyżby doktor miał zamiar te bulwki zasa-
dzić w ogrodzie w Zakopanem? Ale w takim razie, dla
czego pomijał storczyki plamiste, mające kwiaty okazalsze?

Znajoma góralka zastąpiła im drogę z koszykiem po-
ziomek. Doktor skorzystał z tej okazji, żeby posłać bukiet
storczyków pannie Katarzynie, a Henryk wręczył jej fioł-
kowe kamienie dla Marysi. Natomiast kupili od niej po-
ziomek, które zjedli na poczekaniu.

Przewodnicy, nie lubiący ciągłego zatrzymywania się,
naglili do dalszej drogi; ruszyli więc dalej żwawo, a doktor
nie przestawał mówić z takim zapałem o storczykach, że
nawet Witold spoglądający z litościwym uśmiechem na bo-
taniczną manię przyjaciela, słuchał z zajęciem.

— Jest to najdziwniejsza w świecie roślina — mówił
Jakób — napotkać ją można na całej kuli ziemskiej. W sferach
umiarkowanych storczyki żyją w ziemi i wyrastają z
bulw; w zwrotnikowych krajach najczęściej sadowią się
na drzewach, czepiają się korzonkami szczelin, gdzie cza-
sem natrafiają na grudkę ziemi. A nawet obchodzą się bez
niej, żyjąc tylko zbutwiałym drzewem, wilgocią i powie-
trzem. Storczyki są największą ozdobą lasów zwrotniko-
wych, gdzie wśród masy zieloności, najjaśniejsze przybie-
rają barwy i najdziwniejsze postacie. Są one podobne
do naczyń, do owadów, do motyli, do ptaków, nawet
i do zwierząt. Gdy się je widzi w cieplarniach, trudno

uwierzyć, że te wspaniałe zamorskie rośliny, są braćmi na-
szych skromnych kwiatków łąkowych!

— A to co za gatunek? — zapytał Henryk, zrywając
roślinkę, której kwiaty ułożone były kulisto.

— To jest storczyk kulisty, wysokim tylko gór-
owłasciwy: *Orchis globosa*.

— Ani trochę niepodobny do kłosowych — powiedział
Henryk. — Ale jeżeli storczyki są tak rozmaite, po czemże
je można poznać?

— Każdy z nich ma kwiat nieforemny i zawsze jakieś
podobieństwo do helmu; każdy ma dwa rozpostarte skrzy-
dełka i część szerszą jakby zwisłą klapkę. Złożone są
z 6-ciu płatków korony, pięknie zabarwionych i różne ry-
sunki na sobie posiadających. W środku zaś niema, jak
w innych kwiatach, cienkich nitk z woreczkami, z których
delikatny wysypuje się pyłek, ale w głębi osadzona jest
jakby mała gruszczyca, złożona ze zrosniętych pylników,
z zawiązkami. Storczyki gruntowe mają jeszcze jedną ce-
chę osobliwą: jest to roślina wędrująca.

— Jakto? Czy wiatr je przenosi z miejsca na
miejsce?

— Nie. Bulwa ich składa się właśnie z dwóch bul-
wek połączonych, z których jedna jest znacznie większa
i z tej właśnie wychodzi łodyga; druga mniejsza zaś szyć-
kuje się na rok następny, aby dorósłszy, taką samą łodyżkę wy-
dać. Co rok nowa bulwka starą za sobą pozostawia i tym
sposobem roślina ciągle posuwa się naprzód. Powolny to
pochód, jeden krok na rok i jeszcze krok taki mały! W
ciągu lat dwudziestu storczyk posunąć się może zaledwie
o jedną stopę; w ciągu całego wieku o pięć.

— O, jakież to marudny wędrowiec! Proszę pana,
czy... na drodze którą idziemy, można napotkać różę?

— Można, o ile nie pójdziemy bardzo wysoko. Pe-
wnie ci idzie o różę bez kolców. Nieprawdaż?

Chłopiec zaczerwienił się.

— Tak jest — powiedział otwarcie. — Sir Edward
w dolinie Kościeliskiej okazał mi tyle dobroci, że radbym...

— Przysłużyć mu się...

— Pomóż, jeżeli można do znalezienia tej osobi-
wej róży.

— Podobna ci się więc sir Warburton?

— Bardzo i dziwię się temu, co mówi pan Walter, że
robotnicy jego są mu wdzięczni, ale go nie kochają. Zdaje
mi się, że pokochać go musi być bardzo łatwo: jest dobry
i nieszczęśliwy.

Malarz idący ciągle naprzód w milczeniu, przystanął,
spojrzał na doktora, otworzył nawet usta, jakby chciał coś
powiedzieć, ale powstrzymał się. Wreszcie, gdy Henryk
odbiegł na stronę, odezwał się półgłosem:

— Zrobiłem odkrycie: nasz przybysz z za morza ma
polskie upodobania.

— Skądże pan to wie? — zapytał Jakób.

— Poszedłem wczoraj na gazety do restauracji pod
Różą, gdy wszedł Anglik. Nie widział mnie, bo siedziałem
w drugim pokoju, zasłonięty uchyloną do połowy drzwia-
mi, ale ja doskonale widziałem go w lustrze wiszącym na-
przeciw. Wszedłszy, rzucił badawczym okiem po sali: nie
było jeszcze nikogo, bo zegar wskazywał zaledwie pół do
dwunastej. Zażądał po niemiecku karty i wybrał. zgadnij
pan jaką zupę!

— Anglicki zup nie jadają.

— A jednak baronet jadł zupę.

— Hm... a więc chyba bulion.

— Jadł... wyobraź pan sobie... chłodnik litewski!

— Tak? to ryzykowne... w takim wieku... Chłodnic
jest zupą wyborną i co do mnie, daję mu pierwszeństwo
przed innemi; ale trzeba na to młodego, bardzo zdrowego
żołądka.

— Ale czy pana nie dziwi, że to smakowało Angli-
kowi? Przypuszczałem, że dysponując, nie wiedział co mu
dadzą i gdy spróbuje, położy łyżkę. Tymczasem zjadł
wszystko!



Storczyk.

— Widocznie mu przypadł do gustu — rzekł obojętnie na pozór Jakób, któremu stanęła w myśli noc spędzona na Starej Polanie. My Polacy tyle jadamy zamorskich przysmaków... czas, żeby cudzoziemcy odwzajemnili się nam i zasmakowali w naszych. Bolesław Prus oddawna już nawołuje, abyśmy niektóre nasze narodowe potrawy zaczęli wysyłać za granicę. Sprowadzamy w załutowanych puszkach pasztety sztrasburskie, za drogie pieniądze, choć zawierają tylko chorobliwie powiększoną wątrobę pospolitych gęsi — czemużbyśmy nie mieli posyłać cudzoziemcom w załutowanych również puszkach, polski bigos lub flaki i zrazy! Cóż sir Warburton jadł więcej?

— Właśnie to, czem pan chcesz obdarzyć cudzoziemców: zrazy z kaszą. Zrazy są wprawdzie znane w Anglii, bo je nawet Nelson wymyślił, ale kasza. Anglik jedzący kaszę, to osobliwość taka sama, jak Anglik jedzący chłodnik.

— Najwidoczniej chce poznać naszą kuchnię narodową i jeżeli w niej zagustuje, pewnie każe niektórym potraw wyuczyć się swemu kucharzowi. Dzięki jemu, sława polskiej kuchni rozejdzie się po całym państwie Wielkiej Brytanii. Czy był jaki deser?

— Był, ale go nie tknął. Za to zjadł do okruszyny chleb razowy, którego spory kawał leżał obok białego chleba. Na widok tego chleba oczy jego zabłyśły, jak na widok starego, dawno niewidzianego przyjaciela, i gdy po niego sięgał, uważałem, że ręka mu drżała.

— Przesadzasz pan. Chleb Grahama jest wynalazkiem angielskim.

— Tylko że to nie był chleb Grahama, ale zwyczajny, gruby razowiec, pieczony na liściach ajeru.

— Ajeru?
— Tataraku, jeżeli pan wolisz.
— Co za przywidenie! Tataraku nie znajdziesz pan w Tatrach. Nie znosi on płytkiego, kamienistego dna górskich strumieni. Wyrasta po brzegach odlewisk rzecznych i stawów. Trzeba by iść po niego aż w Beskidy.

(d. c. n.)

Władysław Almiński

HISTORIA ŚRODKÓW KOMUNIKACYI.

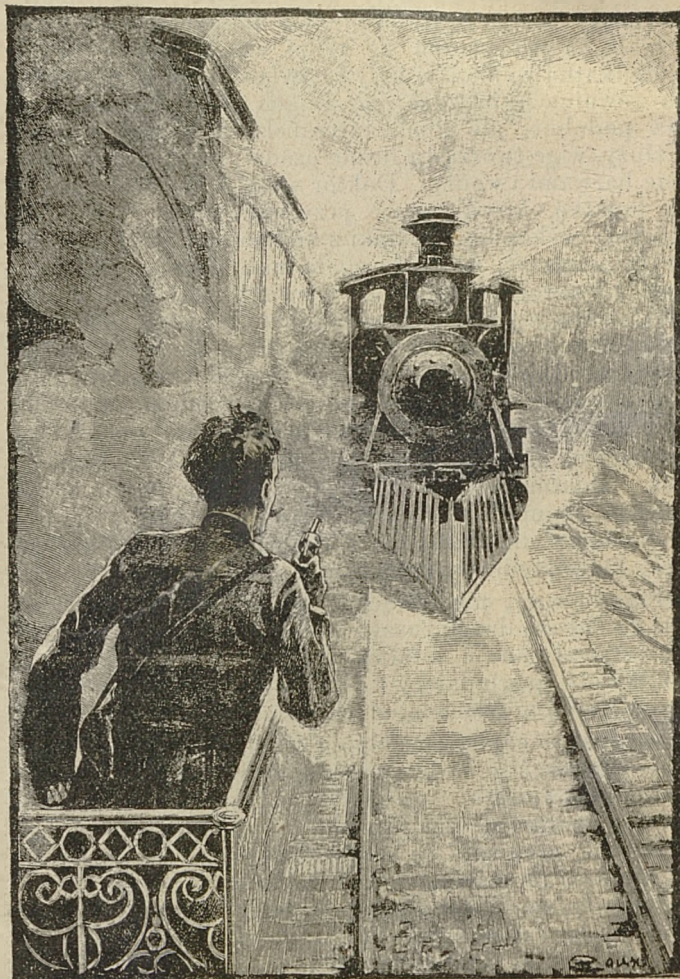
IV. Żegluga u ludów cywilizowanych.

Największy wpływ na rozwój żeglugi wywarły bez wątpienia wiadomości astronomiczne i wynalazek igły magnusowej z jednej strony, a handel z drugiej strony.

Fenicjanie, Kartagińczycy, Hiszpanie, Portugalczycy, Holendrzy, Anglicy i inne ludy, wsławione w historii ze swych zdolności żeglarskich napewno nie myślałyby o ulepszaniu okrętów, o odkrywaniu nowych krajów, gdyby nie chęć zysku. Złoto było i będzie, niestety, przez długie jeszcze czasy potężną dźwignią, która pobudza człowieka do wykonywania wielkich czynów.

Czyż Vasco de Gama, żeglarz, któremu udało się opły-

Do pow. Testament Dziwaka.



Równocześnie rozległy się dwa wystrzały.



Lódź Wikinga (w. XI i XII.)

nać dookoła Afrykę zapisałby swe nazwisko złotemi zgłoskami w dziedzinie geografii, gdyby go nie gnała żądza odnalezienia drogi do bogatych Indyi. Czy w innym celu nieśmiertelny Kolumb narażał siebie i swych towarzyszy na niebezpieczeństwa dalszej podróży?

Przykładów podobnych można by przytoczyć bez liku. Dowodzą one, że nauka znajdowała się w służbie u kupców i innych pragnących bogactwa ludzi, a dopiero w nowszych czasach zaczyna stronić od pieniędzy i oświadcza, że chce istnieć sama dla siebie.

Najsilniejsze żądze zdobycia bogactwa nie popchnęłyby jednak żeglarzy na bezmiar oceanu, gdyby igła magnesowa nie dawała im pewności, że nie zblądzą pomiędzy wodą i niebem. Dopóki to znakomite narzędzie nie było znane, dopóty żeglarze nie odważali się oddalać od lądu.

Komu należy się zaszczyt wynalezienia kompasu, napewno nikt nie orzecze; nie ulega wszelako wątpliwości, że Europejscy żeglarze otrzymali go od ludów wschodnich, mianowicie Chińczyków, którzy znali igłę magnesową na tysiąc lat przed Narodzeniem Chrystusa.

Kompas jest to igła magnesowa, osadzona na sztyfcu pionowym ponad tabliczką, zwaną różą wiatrów, na której są oznaczone strony świata. Igła jednym końcem zwraca się zawsze na północ, drugim na południe, z małemi zboczeniami, które łatwo dają się prostować.

Zaopatrzone w tak niezawodny drogowskaz, dzisiejszy marynarz śmiało się puszcza na olbrzymi ocean. Ale kompas czyli bussolę wprowadzono w użycie w Europie dopiero w XIII wieku.

Fenicjanie i inne starożytne narody żeglarskie musieli się zadawałniać w dzień wskazówkami słońca, w nocy zaś odnajdywali kierunek przy pomocy gwiazd; kiedy więc było pochmurno z łatwością mogli się oni zabłąkać.

Jedni tylko Skandynawowie pod przewodnictwem swych Wikingów odważali się na dalekie podróże i w swych skórzanych statkach, niemając bussoli, docierali aż do Islandyi, do Grenlandyi, a nawet, jak powiadają, do Ameryki Północnej.

Drogę zuchwałym Normanom wskazywały ptaki, zabierane na pokład; wypuszczając je od czasu do czasu i polegając na ich wrodzonym instynkcie, skandynawscy żeglarze docierali do lądów nieznanych, na kilka wieków przed Kolumbem i jego następcami.

Statki żaglowe Hiszpanów i Holendrów były w porównaniu do dzisiejszych niesłychanie nędzne; można by je nazwać raczej łodziami krytymi pokładem i zaopatrzonemi w pomosty. Dość powiedzieć, że okręty Kolumba miały po kilkadziesiąt zaledwie beczek (tonn) objętości, podczas, gdy współczesne parowce dochodzą 12—15 tysięcy tonn pojemności.

Statki, kursujące po Wiśle okazałyby się więc olbrzymami w obec *Karawell* żeglarza nad żeglarze.

Później zwiększano rozmiary okrętów, lecz nie przekroczone granic jakichś 300—400 beczek. Pomimo licznych żagli i trzech masztów statki z epoki wielkich odkryć geograficznych, która trwała przez 15, 16, 17 i 18 wiek, posiadała bardzo skromną szybkość: co najwyżej 7—9 mil morskich na godzinę; pochodziło to stąd, że nadawano im niewłaściwe kształty; dopiero później nauczono się budować tak kadłub okrętu, iżby przecinał łatwo wodę.



Karawele Kolumba, na których odkrył Amerykę w r. 1492.

Nie należy się więc dziwić, że na takich okrętach podróż musiała trwać długo, i nie należała do bezpiecznych. Burza i przeciwny wiatr, cisze morskie opóźniały żeglugę; przypomnijmy sobie, że Kolumb żeglował parę miesięcy do Ameryki, chociaż wiatry mu ciągle sprzyjały; wyprawa Magellana potrzebowała coś trzy lata na podróż naokoło świata.

W chwili, kiedy pojawiły się pierwsze statki parowe, przejazd do Ameryki z Europy trwał nie tydzień, jak dzisiaj, lecz 6 do 8 tygodni.

Jednakże nawet przed wynalazkiem maszyny parowej i zastosowaniem jej do poruszania okrętów, ludy europejskie, poczynając od Fenicyan i Greków, wprowadzali pewne ulepszenia zarówno w budowie statków, jako też w umiejętności zużytkowania siły wiatru.

U starożytnych wiosła, a więc człowiek był głównym motorem tych wielkich łodzi, za pomocą których pływali po morzu Śródziemnem, tylko przez wydłużenie wiosł i powiększenie liczby wiosłarzy potrafiiono nadać galerom t. j. statkom wojennym szybszy ruch. Wiosłarzami byli zwykle niewolnicy lub jeńcy wojenni, przykuci łańcuchami do ławek. Praca ich była niezmiernie ciężka, kierował nią dozorca, który uderzając młotkiem po blasze, wybijał takt, znacząc w ten sposób wszystkim wiosłarzom potrzebną w danej chwili szybkość wiosłowania.

W razie rozbicia się galery ci nieszczęśliwi przykuci do ławek, nie mieli już żadnej nadziei ratunku. Galery takie istniały jeszcze w Turcyi do XVI wieku.

Nie można też powiedzieć, aby u starożytnych nie dbano o wygodę i piękność statków. Przeciwnie galery cesarów i wielkich dygnitarzy odznaczały się pięknymi kształtami, tysiącem upiększeń w rzeźbach i malowaniach, a nawet wielkim zbytkiem w urządzeniu wewnętrznem, ale korzystać z tych stron dodatnich mogły tylko nieliczne wyjątkowe osobistości, kosztem ciężkiej pracy tysięcy.

(d. c. n.)

TESTAMENT DZIWAKA,

POWIEŚĆ

JULIUSZA VERNE'A.

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

— I owszem, choćby w tej chwili...
— W tej chwili nie mam czasu — krzyknął w najwyższej złości komodor.

— To go pan poszukaj...

— Teraz poszukam miejsca w pociągu, którego po-
minąć nie mogę.

Rzeczywiście, pociąg stał już gotowy do odjazdu. Lokomotywa syczała, wyrzucając kłęby dymu i pary. Naraz dano sygnał odjazdu. Korzystając z ostatniej sekundy wskakuje Urrican do pierwszego z brzegu wagonu, woła wszakże jeszcze z platformy:

— Otrzymasz wieści o mnie, mój panie dziennikarzu, bądź pewny, że otrzymasz...

— Kiedy?..

— Dziś wieczorem, w Europejskim hotelu.

— Czekam — odpowiedział czwarty partner. Zaledwie jednak pociąg ruszył, dodał: — A toż się omylił ten szaleniec! wsiadł do pociągu, który powiezie go w przeciwną stronę Omahy. No, ale to jego sprawa nie moja. Co do mnie, bodaj muszę tu zaczekać do wieczora; prawdziwie mnie zaciekawia, jak się to skończy...

Rzeczywiście, pociąg do którego Urrican wskoczył cały zaperzony, podążył w kierunku Charlestonu, a więc tam gdzie właściwie Kymbalowi wypadała droga, a nie jemu. Mimo tego przecież nie pomylił się wcale, bo wracał on do Herculanum, jedną stacyą za Saint-Louis, aby połączyć się z czekającym nań Turkim.

Kryła się w tem cała historia: z powodu zaginionego gdzieś w drodze kufra: Turk zrobił zawiadomcy stacyi Herculanum straszną awanturę, grożąc mu, że go żywcem wpakuje do gorącego pieca lokomotywy. Scenę tę wielce śmieszną dla obecnych, zakończył komodor, rozkazując natychmiast uspokoić się Turkowi, a sam pierwszym pociągiem wrócił do Saint-Louis, gdzie po przedstawieniu sprawy, otrzymał zapewnienie, iż kufer jego będzie odszukany i wysłany jak najspieszniej za nim.

Właśnie z tą odpowiedzią wychodził z biura, aby wrócić do Herculanum, gdy zaszło niefortunne spotkanie z Zielonym Sztandarem.

Teraz Kymbale zmuszony czekać w Saint-Louis, uprzyjemnił sobie te kilka godzin, odwiedzeniem dawnych znajomych, w których wesołym towarzystwie pozostał aż do wieczora. Dopiero też za powrotem do Hotelu Europejskiego, gdy zabierał się już na spoczynek, doręczono mu list ze stemplem pocztowym z Herculanum.

— Prawda, o mało nie zapomniałem o tem! — zawołał, rozrywając kopertę — zobaczmy co tam nowego.

List Urricana brzmiał dosłownie:

„Szanowny panie dziennikarzu!

Bezwątpienia masz pan przy sobie rewolwer, tak samo jak ja mam swój. Jutro jadę do Saint-Louis pociągiem, który wychodzi z Herculanum o siódmej rano: Proszę pana byś o tej samej godzinie wyjechał pociągiem z Saint-Louis do Herculanum, co jak wiem, nie zmienia planu dalszej podróży pana.

Dwa te pociągi mijają się na torze kolejowym. Jeżeli nie jesteś człowiekiem, który umie obrażać ludzi nie dając im żadnej satysfakcyi, będziesz pan czekał sam w tym czasie na platformie, z tyłu swego wagonu, tak jak ja zajmę także miejsce w moim. Chwila mijania się pociągów wystarczy nam na pewno do paru wystrzałów.

Komodor Hodge Urrican.

Zaprawdę, ten komodor nie ma chyba zwyczajnego mózgu w swej czaszce; musi tam być jakaś masa zostająca w stanie bezustannego wrzenia. Toż z niego gorączka, toż zapalenie!

W każdym razie odpowiedniejszego przeciwnika nie mógłby sobie dobrać w świecie całym. Dla kronikarza Trybuny podobne zajście ma urok niezwykłości, a bądźmy też pewni, że wśród Yankesów nikogo to ani oburzy ani zadziwi, bo nie zwykli dziwić się ludzie w tym niezwykłym świecie Ameryki.

— Jeżeli to wilczysko morskie myśli, że nie przyjmę jego wyzwania, to się grubo omylił. Zielony sztandar dziennikarza nie cofnie się przed sztandarem pomarańczowym komodora — zawołał czwarty partner, poczem, nie zaprzatając sobie dłużej głowy tą sprawą, zasnął snem sprawiedliwego.

Nazajutrz ranek był chłodny. Nikt z podróżnych nie przeszkadzał na platformie Kymbalowi, czekającemu wyznaczonego spotkania z zegarkiem w ręku.

Nareszcie zwiększający się miarowo szum, oznajmił mu zbliżenie się pociągu.

Była godzina siódma minut szesnaście; wsunął więc do kieszonki zegarek, a natomiast wyjął rewolwer, który uniósł do wysokości czoła, gotów każdej chwili do strzału.

Już minęły się lokomotywy, zostawiając za sobą kłęby pary; w pół sekundy później rozległy się prawie równocześnie dwa wystrzały. Kula komodora świsnęła tak blisko głowy Kymbala, że uczuła na skroniach silniejszy powiew wiatru. Na strzał odpowiedział strzałem, i niebawem coraz znaczniejsza przestrzeń rozdzielała dążące w przeciwnie strony pociągi.

Niech jednak nikt nie sądzi, że huk wystrzałów zaniepokoił resztę podróżnych, że poczęli się oni cisnąć i trwożnie dopytywać o przyczynę, jakby to w starej Europie miało miejsce. Amerykanie drobnostki takie przyjmują z zupełną obojętnością — więc i Kymbale wrócił najspokojniej na swe miejsce w wagonie, nie zaczepiony przez nikogo.

Jaki los spotkał komodora nie wiedział teraz oczywiście, ale dowie się przecie o tem w niedalekiej przyszłości, więc poczeka cierpliwie. A tymczasem jechał dalej przez Nashville, obecną stolicę Tennessee; Cumberland-River, miasto przemysłowe z siedemdziesięciu tysiącami mieszkańców, Chattanooga (w języku Szerokesów znaczy gniazdo kruków) pierwszorzędny punkt strategiczny, na przejściu wśród gór, które przekroczył pierwszy raz Sherman ze swą armią zjednoczoną.

Stąd pociąg wjechał już na terytoryum Stanu Georgii, zwanej „Kluczem Południa” podobnie jak Pensylwania nosi miano „Klucza Północy.” Uznam tu za główne miasto jest Atlanta, ku pamięci długo stawionego oporu, wczasie tak zwanej wojny secesyjnej, chociaż też Augusta nad rzeką Sawannach, uprawiająca przemysł bawełniany, niema podrzędnego znaczenia.

Kymbale nie zatrzymał się już na żadnej stacyi; z pociągu na pociąg przesiadał się spiesźnie byle tylko dalej, byle prędzej naprzód. Z wielkim też zadowoleniem wjechał na terytoryum południowej Karoliny, minął Hamburg i wieczorem 2-go czerwca stanął u celu swej podróży w Charleston, mając za sobą od Santa-Fe drogę tysiąca pięciuset mil.

Nie bez zaciekawienia przeglądał w restauracyi, do której zaszedł na kolację, ostatnie numera dzienników, szukając wiadomości o Komodorze. Znalazł ją bez trudu. Telegram z Ogden powiadomił publiczność, że szósty partner wraz ze swym nieodstępnym towarzyszem, przejeżdżał tam dnia 31-go maja, dążąc w dalekie strony Californii.

— Cieszy mnie szczerze — pomyślał sobie — żem go chybił, bo choć to dzikie i złe wilczyisko, ale przecie ma postać ludzką.

Żadnej wzmianki o odbytych pojedynkach kolejowym nie było nigdzie; widocznie nikt jeszcze o nim nie wiedział; była to więc dotychczas tajemnica i dopóki sami przeciwnicy zamilczą o niej. Ale czyż można liczyć na dyskrecyę kronikarza?...

Jeżeli Stan południowej Karoliny zajmuje w rządzie ziem Unii, zaledwie dwudzieste dziewiąte miejsce w stosunku swego obszaru, niemniej jednak liczy jeden krok sto pięćdziesiąt dwa tysiące mieszkańców, w znacznej części potomków pierwszych tu kolonistów francuskich. Dobrobyt wszakże na tej ziemi urodzajnej, wydającej pierwszego gatunku bawełnę i obfite zbiory: ryżu, kukurydzy i zbóż wszelkich, a bogatej w pokłady żelaza, ołowiu, marmuru i fosforu przytłumiony został skutkami nieszczyśnej wojny. Wielu właścicieli musiało sprzedać swe posiadłości, które przeszły do rąk z różnych spekulantów, a choć nie rzadko spotkać się można z nazwiskami starych rodzin francuskich, to wedle zdania Elizeusza Reklus, są to już ludzie zupełnie zangliczeni.

Rzecz godna uwagi, że chociaż w swym czasie rasa murzyńska stanowiła tu $\frac{2}{3}$ ogólnej liczby mieszkańców, jednakże właśnie tutaj, przed innemi prowincjami, przyjęty został akt zniesienia niewoli.

Za stolicę kraju urzędownie uznana jest Columbia, miasteczko ładne lecz niewielkie, liczące zaledwie piętnaście tysięcy mieszkańców. Znacznie większe od Columbii jest Beaufort, główny punkt handlu całej prowincyi.

Kymbale nie znał jeszcze Charlestonu, któremu dodano nigdyś szpetny przydomek: miasta niewolników, gdyż tam właśnie najliczniej dowoziły biednych Murzynów, przeznaczonych na sprzedaż, okręty trudniące się tym wstępnym handlem.

Rozłożone na niskim półwyspie na Atlantyku, z bar-

dzo dogodnym portem, posiada Charlestone tyle szczęśliwych warunków, że ani wojny, ani pożary i powodzie, których wielokrotnie padało ofiarą, ani też żółta febra, która dziesiątkowała ludność, nie spowodowały jego upadku. Panuje tu stale ruch handlowy, bardzo ożywiony, a samo miasto czyni mile wrażenie z domami, otoczonymi zielenią drzew pomarańczowych, cytrynowych, magnolii i granatów.

Nieco dalej na wysepce wznosi się fort Moultrie, który jest zarazem jednym z głównych arsenałów państwa.

Kronikarz Trybuny, jak wszędzie tak i tutaj był prawdziwym Benjaminskiem szczęścia. Żadna z klęsk wymienionych nie nawiedziła dawno miasta, więc też mieszkańcy jego jak najlepiej usposobieni przyjęli gości z otwartymi rękoma, a łatwi do entuzjastycznych uniesień ze swym temperamentem południowców, prześcigali się w okazywaniu mu, jak wielce im miła była jego wizyta.

Kilkodniowy więc ten pobyt w Charlestone zostawi na zawsze najmilsze wspomnienia czwartemu partnerowi gry Hyperbona i. jak o tem są tu wszyscy najmocniej przekonani, przyszedł do posiadaczowi jego milionów.

Mimo swych zdolności specjalnych, umiejętnego użycia czasu, Kymbale nie nadążył tu przecie przyjmować wszystkich zaproszeń, któremi był wprost obrzucany, a które jedynie jego osobę miały na względzie. Śniadania, obiady, wycieczki w okolice, zajmowały go od wczesnego rana, do późnej nocy. Gdziekolwiek się ruszył, wszędzie słyszał powtarzane swe imię; na rogach ulic jaśniały barwne afisze z jego nazwiskiem, nawet elektryczne lampki, iluminujące wieczorem ulice, tworzyły jego inicjały.

(d. c. n.)

Sprawozdanie z konkursu na wypracowania.

Nagród w książkach 11. Kartek pochwalnych 30.

— Doprawdy, że Redakcyja była nielitościwa, dając nam aż trzy tematy do wyboru! który wybrać? — Temi słowy rozpoczyna swoje wypracowanie Turkawka. My jednak sądzimy, że właśnie ułatwiliśmy zadanie piszącym, udzielając im większej swobody, a dowodem tego jest cały stos, bo z górą 60 wypracowań, dłuższych i krótszych, lepszych i słabszych, otrzymanych przez Redakcyę, a ze współudziałem Jaskółki, sumiennie odczytanych i porównanych.

Temat: **Moje ulubione zajęcie** pozyskał największe uznanie; więcej niż połowa piszących wybrała go, dając nam sposobność zapoznania się z ich upodobaniami. Niektórzy jednak rozszerzyli temat, pisząc nietylko o jednym najulubieńszym, lecz o kilku ulubionych zajęciach. Dodamy, iż ten temat przeważnie wybrały panienki.

Otóż z ich szczerzych wynurzeń dowiedzieliśmy się, że połowa (20) najlepiej lubi czytać, ośm przekłada najbardziej zajęcia gospodarskie koło domu i kuchni, sześć — obcowanie z naturą t. j. spacer i przejażdżki kołno lub łódką, przebywania w lesie i t. p. dwie — muzykę, dwie — rysowanie i malowanie, trzy — marzenia, wreszcie po jednej: nauczanie, pielęgnowanie chorych, zajęcie się ogrodem i roślinami, uczenie się z koleżankami i obcowanie z miłym towarzystwem. Jak widzicie, upodobania bardzo chwalebne, ale przy ocenianiu wypracowań mieliśmy naturalnie na względzie nie sam rodzaj zajęcia, lecz sposób wyrażania myśli, czyli układ zdań, barwność wyrazów, styl i poprawność mowy.

Do konkursu na temat: **Jakie udogodnienia zawdzięczamy elektryczności**, przeważnie stanęli chłopcy, dając dowody dość gruntownych wiadomości z fizyki i techniki, ale za to, co im się nie chwali, mniej poprawnego stylu i języka. Nie tylko telegraf i światło elektryczne, ale inne nawet drobniejsze i nie tak rozpowszechnione zastosowania tej zdumiewającej siły nie zostały zapomniane. Z radością przekonaliśmy się, że elektrotechnika ma wielu zwolenników wśród czytelników „Wieczorów.” Trzy panienki wybrały także ten temat i wcale się nieźle zeń wywiązały.

Streszczeniem powiastki „Bohater Pawełka i Ewci” zajęły się głównie młodsze pióra wśród czytelników naszych.

Nagrody w książkach otrzymują:

Te-Be. z Wilna, (choć nie zupełnie odpowiadający tematu, ale z wielkiem uczuciem i pięknym stylem napisany marzycielski utwór, którego ustępy postaramy się zamieścić w najbliższych numerach). **Lili** z Warszawy (bardzo miła pogawędka o ulubionych zajęciach, dobrze ułożona i napisana). **Błędny ogień** z Pińska (trzy obrazki, dwa pierwsze wcale niezłe, ale czemu tak smutne?). **Lucyan Kwi.** **Tadeusz Teleżyński**, i **Zygmunt Rauch.** (życzymy wszystkim trzem aby poszli w ślady Edisona i Szczepanika). **Dziewica Orleańska** (bardzo wdzięczny opis pobytu nad Świteznią). **Helcia Morstinówna** (jak zwykle styl jasny, zwięzły i ścisły). **Miechowita**, **Marychna Ossowska** i **Mohort.**

Na ozdobne kartki pochwalne zasłużyły.

Biała Różyczka, **Sokół** z nad Wisły, **Myszka** i **Szarotka** z Orłowa, **Irenka Grabowska**, **Inżynier**, **Pojata**, **Gustawa Dobranicka**, **Azyatka**, **Rybitwa** z nad Wisły, **Świtezianka**, **Wieszczka** i **Rusalka**, **Ida** i **Irenka Platerówny**, **Ilecia** i **Marysia Morstinówny**, **Gwiazdka** z nad Granicy, **Boa** z Przylask, **Hania Wielkopolkanka**, **Wienka** z Kijowa, **Marzycielka**, **Turkawka**, **Cyganka** z nad Jasiołki, **Genia Czaplicka**, **Konik polny**, **Jamba**, **Sir Warburton**, **Jowita**, **Stas Wirski** i **Wiarus.**

Kartki pochwalne zostaną rozesłane w jak najprędszym czasie. Po książki prosimy o zgłoszenie się do Redakcji, lub nadesłania 14 kop. markami na przesyłkę

A teraz po nagrodach trzeba się zwrócić do niektórych ze słówkiem nagany za bardzo niedbałe i pod względem treści i pod względem języka wypracowania. Brak zupełny przecinków, a często i liter w słowach, omyłki ortograficzne, zdania nie zakończone, oto są cechy kilku otrzymanych prac, świadczące głównie o braku uwagi i niechęci do odczytania tego, co się napisało. Jesteśmy wyrozumiali dla młodszych, dla dzieci, którym zwłaszcza w czasie wakacji trudno przez czas dłuższy skupić myśli, ale od trzynastoletniej panienki, jak np. od Jadwini „córki węgierskiej” nie spodziewaliśmy się otrzymać podobnego wypracowania.

Termin konkursu robót ręcznych dla pańienek przedłużamy do 1-go listopada, przypominając im, że plon tego konkursu wspomże ubogą diatwę w czasie świąt. A więc do pracy igły i szydełka!

Od Kom. Budowy Kościoła pod wezwaniem „ZBAWICIELA”

W Warszawie.

Do Redakcji

Wieczorów Rodzinnych.

Na Zasadzie Najwyższego zezwolenia z d. 27 czerwca r. b. na zbieranie w Warszawie i gubernii warszawskiej

ofiar do wysokości 350,000 rub. na budowę nowego Kościoła przy ulicy Marszałkowskiej w Warszawie, Komitet Budowy tegoż Kościoła, przystępując do zbierania składek, tuszy sobie, że Szanowna Redakcja zechce łaskawie poprze starania Komitetu i przyczynić się do wzniesienia tej świątyni, otwierając stosowną rubrykę ofiar w swem Piśmie i zajmując się zbieraniem składek.

Przeświadczeni o skutecznym udziale Szanowej Redakcji i dziękując z góry za podjętą pracę, ośmielamy się załączyć kwitariusz dla osób wnoszących ofiary.

Warszawa 1900 r.

W imieniu Komitetu

Ks. Z. Siemiec.

Henryk Dziewulski.

Sekretarz: Jasiński.

Redakcja „Wieczorów” z chęcią pośredniczyć będzie w przyjmowaniu składek na budowę kościoła „Zbawiciela” ogłaszać je będzie w swem Piśmie i następnie wraz z kwitariuszem prześle Komitetowi.

Marya Balińska składa na ten cel rub. 3.

ZAGADKA.

Dziwna jest moja rola; to zdobie, to szpecę,
Raz witana z niechęcią, a drugi z weselem,
Zachwycam swą postacią, barw żywocią świecę,
To znów przykra i groźna, leków bywam celem.
Od wieków dla piękności sławiona na Wschodzie,
Byłam tam opiewana przez różnych pieśniarzy,
Zresztą w każdym mnie lubią oglądać narodzię,
Żywą czy malowaną, byle nie na twarzy.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 39-go.

Zagadki: Amazonka.

Łamigłówki w kwadracie:

M	a	d	r	y	t
P	o	k	o	r	a
M	a	z	e	p	a
P	a	n	a	m	a
S	a	h	a	r	a
E	r	f	u	r	t

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie zhr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Z wystawy paryskiej (z ryc.) — Droga do nieba; wiersz przez Te-Be. — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską (z ryc.) — Historia środków komunikacji, przez Władysława Umińskiego (z ryc.) — Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. (z ryc.) — Sprawozdanie z konkursu na wypracowanie. — Od Komitetu budowy kościoła w Warszawie. — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: Abecadło w obrazkach: Czytanie (z ryc.) — Złote pole, wiersz przez Z. Z. — Dzienniczek Wańdź. — Nieprzyjaciele myszy. — Bajka o chłopcu zaklętym w karla. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Mały książę, powieść z życia żaków, według I. J. Kraśzewskiego, przez Zofię Mrozowicką.

Abecadło w obrazkach.



W południe zwykle kładą spać małego Dyzia; broni się on od tego, bo udaje dużego już chłopca. Niania jednak ani chce słuchać, układa cichutko małego tłuszcioszka, śpiewa mu piękne piosenki; dziecię usypia, a niania wraz z niem.

Dziś jednak, Dyzio za nic usnąć nie może: przez uchylone okno dolatuje go śpiew ptaszków i ciepły powiew wietrzyku. Dyzio udaje, że śpi: leży cichutko, przymruża oczki... Niania zasypia, zaczyna się na dobre kiwać. Dyzio, cichutko wysuwa się z łóżeczka, otwiera drzwi i w koszulce, boso, biegnie do ogrodu. Pod wiśnią stoi drabinka; chłopczyna czepia się jej oburącz, wchodzi na szczeble: jeden, dwa, trzy... spojrzy na dół, strach! jak tu zejść, więc w krzyk.

Usłyszała to Dorotka, rzuca grabie i przybiega na ratunek braciszкови, obejmuje go wpół; Dyzio otacza rączkami szyję siostrzyczki, która ostrożnie stawia go na ziemi.

A niania śpi ciągle. Cóż to będzie, gdy się obudzi? Przestraszy się i zmartwi pewno, ale i Dyzio się wystraszył, więc już nigdy tego nie zrobi.

Natalia Nogórna.

Złote pole.

Smutna bardzo Janka dola,
Matus dawno legła w grobie
Ojciec za nią poszedł sobie,
A u krewnych to niewola.
Często chłodno, często głodno,
A pracować każą wiele,
A ukaże twarz pogodną
Chyba anioł ten w kościele,
Co tam stoi niby żywy!
Każdy tam przychodząc ranek:
— Taki jestem nieszczęśliwy!
Skarży mu się cicho Janek.
Janek miał duszyczkę białą,
Jak to kwiecie liljowe,
Więc go niebo ukochało,
I przetkało dni osnowę
Jasnym szczęściem. Raz nocy
Poszedł Janek płakać w pole,
Tak naokół cichuteńko,
Tylko chłopię na swą dolę
Się użala i łyzy sieje,
Łzy cierpienia i tęsknoty;
Wtem leciuchny wiatr zawieje,
I jakowyś odblask złoty
Całe niebo cudnie mieni —
Wykwitają kłosa złote,
Na calutkiej pół przestrzeni,
Aż zamroczył blask sierotę.
A wtem anioł niebem płynie,
Ustrojony w blasków koło,
I powiada tak dziecinie,
Co pokornie chyli czoło:
— Twoje to od dzisiaj pole
Będzie dawać złote ziarno,
Bóg osłodził twą niedolę,
Łzy nie poszły twe na marno.
Tyś od dzisiaj pan bogaty,
Lecz pamiętaj zawsze o tem,
Że są w świecie biedne chaty,
A że nędzy ulżysz złotem,
.....
Dotąd jest w pamięci ludu,
Jak nagroził Bóg sierotę,
Dotąd jeszcze miejsce cudu
Słynie nazwą: Pole złote.

Z. Z.

Dzienniczek Wańdzi.

(Dalszy ciąg).

Potem ciocia przysłała do mnie, uściśkała mnie, przeżegnała i mówiła mi słowa, które na mnie wielkie zrobiły wrażenie, bo nigdy jeszcze nie odzywała się do mnie tak poważnie.

Ciocia mówiła tak: „Moje dziecko najdroższe, pamiętaj, że matkę powierzam twojej specjalnej opiece, jesteś w tym wieku, że możesz mnie zrozumieć, tem więcej, że zawsze rodzice przypuszczali cię do poważniejszych rozmów. Powinnaś matce dodawać odwagi i otuchy, czuwać nad nią i wspierać ją moralnie, gdy jej samej odwagi zabraknie. Bądź wesołą, pamiętaj, że swoboda, to cnota, potrzeba ci dużo humoru, bo może nie raz będzie ci trzeba mieć go za troje. Nie narzekaj gdy przyjdą wielkie upały, lub gdy moskity dokuczać ci będą; bądź cierpliwą i myśl o rodzicach, nie o sobie, pamiętaj, że oni tak bardzo się trapią o ciebie z obawy przed klimatem, który może być dla was niezdrowym. Chociaż czego nie rozumiesz z tego, co ci mówię, spamiętaj to sobie jednak, a później to wszystko ci się w główce wyjaśni. Bądź przyjaciółką mamusi, grzeczną, posłuszną córeczką. No, przyrzeknij mi, że będziesz pomocą mamusi i jej podporą w każdej trudniejszej chwili życia.

Rozpłakałam się i całując ciocię w rękę, ścisłałam ją za szyję i szeptałam jej wśród łkań:

— O, przyrzekam, przyrzekam, ja rozumiem, chociaż jeszcze jestem mała, czego ciocia ode mnie wymaga, ja zupełnie dobrze rozumiem.

Ale pomimo tego płakałam coraz więcej i coraz głośniej. Aż mamusia, siedząca w fotelu, schwyciła ojca za rękę i zawołała:

— Boże, Boże, ona się rozchoruje jeszcze!

Biedny mój złoty ojczulek stał tak bezradny i sam mocno strapiiony, pomiędzy nami płaczącymi, ale ciocia Kocia znów do mnie się zwróciła:

— Moje drogie dziecko, uspokój się, pomyśl, mamie samej pęka seree z bólu, a ty jej jeszcze zmartwienia przysparzasz kłopotem o siebie. Zamiast mamusię pocieszać, ty ją jeszcze więcej rozczulasz.

Zrobiłam wielki wysiłek woli, puściłam ciocię, sięgnęłam do kieszeni po chustkę, otarłam oczy z łez i tak się wstrzymywałam, że mogłam wołać za wujostwem: „z Bogiem, do widzenia” i patrzeć spokojnie jak schodzili ze schodków. Na pokładzie 500 osób stoi, patrząc na wybrzeże, usuwają kładkę, zasuwają otwór baryery, świst przeciągły i kapelusze powiewają — Colombo się poruszył, drgnął, zasumiała woda.

Odpływamy.

Stałam patrząc i patrząc, nie mogłam oczu oderwać od tego brzegu na którym coraz to więcej malały ludzkie postacie. Nie płakałam już w głos, tylko łzy cicho spływały mi po twarzy. Mamusia to już patrzeć nawet nie chciała na ciocię, którą z początku doskonale było widać, a potem coraz była mniejsza, mniejsza, aż zupełnie znikła nam z oczu.

Byłabym rada tak stać w nieskończoność i patrzeć na tę ziemię, której tyle dni nawet zdaleka może nie zobaczę, ale przypominałam sobie słowa cioci: „nie myśl o sobie,” więc chociaż mi było bardzo, ale to bardzo nie wesoło, odeszłam od balustrady i przybliżywszy się do mamy, zaczęłam zupełnie swobodnym głosem wypytawać, który fotel mój będzie, ile franków za niego zapłaciła i t. d. tak, że udało mi się wreszcie wydobyć od mamusi odpowiedź, a nawet wciągnąć ją do rozmowy.

— Mój Boże, mamusia pewno sobie pomyślała, że ze mnie wielkie jeszcze dziecko, kiedy nie czuję tej rozłąki, ani doniosłości całej podróży, z której może wcale nie powrócimy, ale ja bardzo dobrze wszystko rozumiem, taką głupią nie jestem, chociaż mam dopiero 12 lat, tylko ja naumyślnie ukrywam przed mamą to, co czuję, aby jej nie martwić, i niby nic sobie z tego nie robię; może Bóg da, że mamusia widząc mnie wesołą i swobodną, samą się uspokoi.

Zaprowadziłam mamusię do kajuty, radziłam jej co lepiej urządzić, ustawić, aby było najwygodniej i najwięcej miejsca. Udało mi się uspokoić ją do tyła, że gdy zadzwoniono na śniadanie, to chociaż miała oczy jeszcze bardzo czerwone, nie płakała już zupełnie.

Ojczulek przyszedł po nas, był biedak bardzo blady, przybliżyłam moją twarz do jego twarzy, objęłam go za szyję i zaczęłam się do niego uśmiechać, ale mój uśmiech musiał być bardzo smutnym, bo ojczulek objął mnie w pól, pocałował serdecznie i ze łzami w oczach powiedział, patrząc na mnie z rozrzewnieniem:

— Dziełne z ciebie dziecko.

Poprawiłyśmy trochę z mamą nasze ubrania i ze szliśmy do sali jadalnej, która jest blisko naszej kabiny.

Jak tylko weszłam, zaraz spostrzegłam tych państwa, co razem z nami przyjechali dorożką, pani miała oczy mocno czerwone, ale dzieci śmiały się i swawoliły; jedno mogło mieć cztery, drugie sześć lat najwyżej. Nikt nic nie jadł, wszyscy byli smutni i milczący, nawet mężczyźni.

Pisałam ten rozdział kilka dni, a jednak jestem zmęczoną. Dobranoc Dzienniczku mój kochany, przyjaćielu pociechy, tobie jednemu powierzać teraz będę moje kłopoty i troski, bo mamusi nie mogę niczem martwić.

(d. c. n.)

NIEPRZYJACIELE MYSZY.

Czy też kiedy słyszałyście już dzieci moje, że nie tylko zwinne koty wytępiają myszy. Oto w północnej Anglii chowają po domach sowy w tym samym celu — które się też zowią: myszołówkami. Zamiast zabijać, te niezbyt co prawda ładne ptaki, i rozwieszać je na drzwiach budynków gospodarskich, jak to u nas po wsiach dosyć często widzieć można; w Anglii obłaskawiają sowy jako ptaki domowe. W nocy, gdy gospodarz i czeladź spoczywają po dziennej pracy, pani sowa wychodzi na polowanie i wtedy biada myszom! Przed kotem jeszcze umknąć im się czasem udaje, ale przed sową nigdy.

Mają myszy jeszcze innego wroga. Wielu z was pewno słyszało już o wyspach Filipińskich, daleko stąd, na oceanie Atlantyckim położonych. Główną wyspą tego archipelagu jest Luçon, z miastem Manilla. Otóż plagą Manilli są już nie tylko myszy, ale wielkie szczury, wypasione na tamtejszym ryżu. Są one tak śmiałe, że w nocy porywają obuwie z przed łóżka i może stałyby się nawet dla ludzi niebezpiecznymi, ale oni znaleźli na nich osobliwych tępicielei, są nimi: węże!

— O! — zawołacie — lekarstwo gorsze od samego złego. Jak można węża trzymać w domu!

Ale powiem wam na to, że choć te węże są bardzo długie, gdyż równają się wzrostowi dwóch ludzi, postawionych jeden na drugim, są jednak nieszkodliwe i zwykle spokojnie leżą uciepione u sufitu, skąd się spuszcza na połów szczurów. Zazwyczaj dwa węże wystarczają, aby wytępić szczury w jednym domu. Na ulicach Manilli spotkać można często ludzi z wysokimi tyczkami, około których okręcone są węże, przywiązane za głowę do tyczki, gdyż inaczej zobaczywszy szczura, zarazby się za nim puścili w pogoń, a ludzie, obnoszący je w ten sposób po ulicach, są to przekupnie węzów, którzy bardzo dobrze zarabiają na tym handlu.

Bajka o chłopcu zaklętym w karła.

(Dalszy ciąg).

W sztuce kucharskiej takiej nabył niebywałej wprawy, że sam się sobie dziwił. Umiał gotować najtrudniejsze rzeczy, pasztety złożone z dwuchsetnych esencji, zupy z wszystkich ziół świata całego, a wszystko szybko i wybornie. Tak przeszło mu około lat siedmiu, aż raz pewnego wzięła stara wiedźma w rękę kosz i laskę i wyszła, a jemu kazała tymczasem oskubać kurczę, nafaszerować ziołami, upiec, dobrze przyrumienić, co też zrobił po dług wszelkich wymagań sztuki kucharskiej. Ale szukając ziół na farsz, ujrzał w ścianie jakąś na pół ukrytą szafę, której poprzednio nigdy nie zauważył. Zaciekawiony przybliżył się, aby zobaczyć, co by tam być mogło i ujrzał sporo koszyczków, z których rozchodziła się jakaś silna, przyjemna woń, a utworzywszy jeden koszyk, znalazł w nim jakieś ziele o bardzo oryginalnym wyglądzie. Łodyga i liście były niebiesko-zielone, płatki kwiatka koloru ognisto-czerwonego z żółtą obwódką. Wziął roślinkę do ręki, zaczął ją na wszystkie strony oglądać i wąchać — a znał ten zapach! bo tę samą silną woń korzenną wydzielała owa zupa, którą go stara poczęstowała. Ale teraz zapach ten tak mu silnie podrażnił powonienie, że zaczął kichać, coraz mocniej, bez końca — aż wreszcie przebudził się.

I otóż znów leżał na kanapie jak poprzednio, więc zdziwiony zaczął rozglądać się w około. Przecież śniłem tak wyraźnie, jak na jawie — pomyślał chłopiec. — Przecież byłbym przysięgł, że jestem marną wiewiórką, towarzyszem morskich świnek, a przytem kucharzem nielada! Tak się matka uśmieje, gdy jej o wszystkim opowiem!

Tylko pewno dostanę burę, że zasypiam w obcym domu, zamiast prędko powracać i pomódz jej na targu.

Tak rozmyślając, wstał, aby szybko do domu powrócić, ale od snu członki bardzo mu zeszywniały, a zwłaszcza szyja, bo nie mógł dobrze głową ruszać; przytem taki był jeszcze zaspany, że co chwila nosem o coś uderzył: to o szafę, to o ścianę. Wiewiórki i morskie świnki biegały w około niego, skowycząc żałośnie, tak, jakby miały ochotę pójść za nim, a że to były miłe stworzonka, więc chętnie byłby je zabrał z sobą, ale uciekły w głąb domu, na swych łupinkach orzechowych i jeszcze zdaleka słyssał, jak wyły żałośnie.

— Jakóbek wyszedł nareszcie na ulicę, ale ledwie mógł się przecisnąć pośród tłumu, który, jak mu się zdawało, zbiegł się, aby oglądać karła, bo ze wszystkich stron słyszał jak wołano:

— Patrzenie, patrzenie, jaki karzeł! Skąd wziął się ten karzeł? A jakie ma potężne nosisko! Widzicie, jak mu głowa gdzieś w ramionach ugrzęzła!

Innym razem także byłby zapewne pobiegł oglądać dziwolągę, ale teraz spieszył się bardzo do matki.

Gdy wszedł na rynek, dziwny go jakiś lęk ogarnął. Matka siedziała jeszcze nad koszem, więc widocznie nie spał długo, tylko zdaleka już dostrzegł, że matczyńsko jego dziwnie smutno wygląda. Nie zachęcała — jak zwykle — przechodniów do kupna, tylko głowę wsparła na rękę, pośpiewnie w dal patrzyła. Chłopca ogarnął nagle także jakiś nieokreślony żal; zbliżywszy się, zniemacka schwycił matkę za rękę i zapytał serdecznie:

— Co wam jest matusiu? Dla czego mama taka smutna? Czy może gniewa się na mnie?

Kobieta obróciła się i krzyknęła z wyrazem najgłębszego przerażenia:

— Czego chcesz, karle nieznany? Precz, precz ode mnie!

— Ale matko, co tobie? — zapytał przestraszony Jakób. — Czyś ty chora? Dla czego odpędzasz swego syna?

— Mówiłam ci już raz, idź, skąd przyszedłeś, krzyknęła kobieta w uniesieniu. — Ja ci nic nie dam za twoje błażeństwa, ty wyrodku jeden.

— Jak widzę, matka rozum straciła — pomyślał strapiiony chłopiec. — Co ja teraz pocznę nieszczęśliwy. Ale matuchno, proszę, oprzytomnij, przyjrzyj mi się lepiej! To ja, twój syn Jakób, czy mnie nie poznajesz?

— Nie, tego już nadto — zawołała Anna do sąsiadki. — Patrzenie-no tylko na tego karła! Przyczepił się do mnie i nie dosyć, że mi kupujących odstrasza, ale śmie jeszcze urągać memu nieszczęściu i powiada, że jest moim synem Jakóbem.

Jak to posłyszały inne przekupki, wnet zaczęły mu głośno i wymownie wymyślać, jak to tylko przekupki potrafią, i nareszcie zagroziły mu, że mu oczy wydrapią, jeżeli zaraz nie pójdzie precz.

— Jak śmiesz — krzyczała jedna przez drugą podawać się za ślicznego chłopca Anny, którego jej ktoś ukradł przed siedmiu laty.

Biedny Jakób nie wiedział, co ma myśleć o tem wszystkim, co miały znaczyć owe siedm lat, owo porwa-

nie i nazywanie go karlem. Czyżby rzeczywiście zdarzyły się jakieś rzeczy niezwykle!

Gdy przekonał się, że matka nie o nim słyszeć nie chce, łzy stanęły mu w oczach i poszedł do budy, w której ojciec jego siadywał całymi dniami, naprawiając obuwie.

— Zobaczę — pomyślał chłopczyzna. — Czy i on mnie nie pozna! Stanę przy drzwiach i zacznę z nim rozmawiać.

Zbliżywszy się do budy, przystanął i zajrzał do wnętrza, ale majster tak był zajęty robotą, że nic w około nie widział, gdy jednakże przypadkowo rzucił wzrokiem w stronę, gdzie stał Jakób, wypadły mu nagle z ręki trzewiki i dratwa i krzyknął przerażony;

— Na miłość Boską, co to jest, co to jest!

— Dobry wieczor, majsterku — powiedział mały, wchodząc do warsztatu — jakże wam się powodzi?

— Źle, bardzo źle — rzekł — już jestem stary, sprawcowany, rady dać nie mogę; takby przydał się czeladnik. Widocznie i ojciec go nie poznał!

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Gdy między samogłoski dwie stojące w rzędzie
Wejdzie jedna spółgłoska — jaki to ptak będzie?

ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

Ułożył Czarny Bocian.

. w . . d l . w . . s n . k w a k c a l ,
 . l . t . n . w . w a n k
 N . . z f . o l k . w , b z . w , s a s n a k ,
 L . c e z . n u . c h k w i a t o w p l o c .
 W p l . m . n n . m . k , b l a w . t k .
 S k r . n z . m . l . t . s t r o c ,
 K r o l i w n a n a s i . s w i j k j
 P . k t r a w . b a r w n . k w i a t k .

ROZWIĄZANIA DO N-ru 49-go

Szarady: Wie — wiór — ki.

Łamigłówni sylabowej.

1) Wacław. 2) Igła. 3) Ster. 4) Łót. 5) Arka.

Wisła — Warta.



Skrzynka do listów.

Józio B. Ks. Stanisław Konarski, urodził się we wrześniu 1700 r. Pisaliśmy już o tym znakomitym mężu w nr. 11-ym Wieczorów Rodzinnych z roku bieżącego i daliśmy jego wizerunek. (patrz art. „Księga Łacińska” Z Morawskiej.)

Sukienki, kaftaniki i fartuszek, przysłane przez Maryę W. czekają rozstrzygnięcia konkursu, co jednak nastąpi w listopadzie, gdyż z powodu licznych żądań, termin nadsyłania robót odłożymy do 1-go listopada.

Tolusi z Koziatyna, książkę i żądane numera wysłano; pomniłaś jednak przysłać marek za 10 k. na koszt przesyłki Koszulki włączone do robót konkursowych.

Życzeniu M. R. z Konina Redakcja czyni zadość, przedłużając termin nadsyłania robót na konkurs do 1 listopada.

Stasiowi Mazur., zaginiony numer posłano.

Zosin, Miecio i Staś przysłali 1 rub na Kolonie Letnie.

P. Horbat. Pierwszego listu nie utrzymaliśmy, po otrzymaniu ostatniego wysłaliśmy natychmiast żądane książki. Oskala wyczerpana.

Hani Per., książki wysłaliśmy bez zaliczenia pocztowego. Na tak małe sumki zaliczenia są za kosztowne i za kłopotliwe. Należy się nam 14 kop., które można przysłać markami.

Czarnemu Bocianowi. Łamigłównę otrzymaliśmy, jak pierwszą wcale nie zła. Jaskółka już powróciła. Życzymy postępów w naukach, zdrowia i dobrego humoru.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali: Wieśniaczka, Niezapominajka z nad Wołicy, Mi Raczek, Chojak, Jesień, Dzienia Trójka, Mały Góral, Celinka, Józio B., Alpejczyk, Gustawa Dobranicka, Romcia z Pod. i Marynka Humicka.

Ej! Świtezianko, nie zrobiłaś mi przyjemności zapowiedział, że rzadziej do mnie pisywać będziesz, gdy mama wyjeżdża za granicę! Pochwalam i zachęcam, żebyś jak najczęściej pisała do mamy, rozumiem, że w czasie smutnych miesięcy rozłąki z mamą, listy pisane i otrzymywane będą dla was stanowią największą przyjemność, ale i dla siebie, proszę czasami o chwilkę pamięci i skreślenie kilku słów. „Flik” bardzo dobre nazwisko dla pieska, ja osobiście wolę duże niż małe.

Nie dziwię ci się, Guciu Dobr., i żalu nie mam, żeś nie mogła dotrzymać obietnicy pisywania z Kołobrzega, a przytem listy twoje, leżałyby w Redakcyi, bo ja też wyjeżdżałam dosyć daleko i żadnej korespondencji nie otrzymywałam. Teraz polecam ci twoją pamięć.

Zbyteczne zadajesz mi pytania Lolusiu Wazg., nie szczęgoła miałabym pamięć, gdybym przez krótkie wakacje, zapomniała o tak miłutkiej korespondencie. Pamiętam o takich, które już wyrosły i pisywać przestały. Z równą jak ty ochotą, zebrałam się do swych zajęć, po wypoczynku tęskniłam do pracy, bo bez niej wypoczynek nie posiadałby ani uroku, ani przyjemności. I ja, suję do mnie jak najczęściej, bo nie tylko ty sama w tej zamkniętej myśli znajdujesz zadowolenie, równie miłą jest ona i dla mnie. Młodszej twej siostrzyczce Meli powiedz, że termin nadsyłania robót został przedłużony do listopada, więc mam nadzieję, że do tego czasu postara się skończyć swój kapturek. A jeżeli nie nagroda, to myśl, że jej robotka przyniesie korzyść i uradowuje jakąś biedną dziewczynkę, powinna ją zachęcić do dalszej pracy. Przytem do robotek ręcznych, szycia i t. p. trzeba się przykładać każdej dziewczynce, gdyż umiejętność ta jest nieraz konieczną dla każdej kobiety w życiu domowym zarówno dla pożytku jak i rozrywki.

Romci z Pod., o losie dawnych łamigłówek nie mogę ci objaśnić. Przysłane w ostatnim liście złożyłam w Redakcyi Koszulkę otrzymaliśmy.

Dziękuję wam bardzo kochani: Inżynierze i Miechowito, iż nie zapomniacie o przyjaznej wam Jaskółce, śląc mi powitania w formie ładnych kartek, jednej z widokiem Miechowa, a drugiej z jeszcze ładniejszym widokiem — małego braciszka. A jak siłownie uśmiecha ten mały pieszczołek! Oczekuję bardzo zapała wiadomego listu, w którym Miechowita obiecuje mi opowiedzieć wiele ciekawych rzeczy, a tymczasem najserdeczniej pozdrawiam was obojga, wraz z młodszym rodzeństwem.

Wasza Jaskółka.